

Wrzawa śmiertelnych

Eric Nylund

Fragment rozdziału 1

Dwoje nieistotnych dzieci

Eliot Post i jego siostra Fiona mieli skończyć piętnaście lat następnego dnia i do tej pory nigdy nie przytrafiło im się nic interesującego. Mieszkali razem z babcią i prababcią, które trzymały ich krótko – choć dłońmi w aksamitnych rękawiczkach – i chroniły przed wszystkim, co mogłoby być choćby odrobinę ciekawe.

Eliot przysunął do szafki plastikową skrzynkę po mleku, wszedł na nią i spojrzął w lustro. Skrzywił się na widok swojej czarnej czupryny; po równym cięciu nie zostało śladu. Przynajmniej włosy zakrywały odstające uszy. Ale i tak wyglądał jak idiota.

Przesunął palcami po głowie i na chwilę wszystko znalazło się na swoim miejscu... po czym ciemne kędziory znów zaczęły odstawać.

Gdyby tylko miał żel do włosów... Ale nic z tego – jedna z reguł zakazywała używania markowych szamponów, mydeł i innych „luksusowych” kosmetyków. Prababcia przygotowywała zamiast tego ich domowe wersje. Można było się nimi umyć (czasami zrywając przy okazji sporo naskórka), ale pozostawiała wiele do życzenia, jeśli chodziło o nadążanie za aktualnymi trendami w modzie.

Eliot zerknął na przyklejone do drzwi jego pokoju kartki. Zapisano na nich 106 reguł babci, które rządziły każdym jego oddechem. Brak żelu do włosów pojawiał się w regule 89.

Reguła 89: Żadnych ekstrawaganckich produktów kosmetycznych, w szczególności kupowanych w sklepach mydeł, szamponów, papierowych ręczników i innych towarów ulegających zużyciu, które wcale nie są nieodzowne (powyższa lista nie jest wyczerpująca).

Na szczęście nie było tam mowy o papierze toaletowym.

Zegarek na szafce wydał z siebie zachrypnięte „bim”. Minęła dziesiąta. Południowa zmiana w Pałacu Amerykańskiej Pizzy „U Ringo” zaczynała się za czterdzieści minut. Eliot na myśl o słodkim cieście i tłuszczu z pepperoni, których zapachami znów przesiąknie jego skóra, z trudem powstrzymał dreszcz. Zgarnął z biurka pracę domową i poruszył kilka razy nadgarstkiem zeszywniałym od pisania przez całą noc. Oplącało się – był naprawdę dumny ze swojego wypracowania o wojnie brytyjsko-amerykańskiej z 1812 roku. Babcia będzie musiała postawić mu piątkę.

Ale rozważania o obronie zatoki Chesapeake i gwieździstym sztandarze natychmiast uleciały mu z głowy, gdy ulicą przejechał samochód. Dźwięk radia wspiął się z łatwością na wysokość trzeciego piętra i wpadł do pokoju chłopca, wypłukując z niego wszystkie myśli o pracach domowych, pizzy i regułach. Na chwilę Eliot stał się bohaterem jakiejś przygody i znalazł się gdzie indziej, na otwartym morzu wśród huków armat i łopoczących żagli. Samochód się oddalił i muzyka ucichła.

Eliot oddałby wszystko za własne radio. Ale babcia wciąż powtarzała: „Muzyka tylko rozprasza”. I oczywiście ten zakaz także stanowił jedną z reguł.

Reguła 34: Żadnej muzyki, włączając w to grę na instrumentach (oryginalnych bądź wykonanych własnym sumptem), śpiew, nucenie i odtwarzanie rytmicznych form melodycznych przy użyciu urządzeń elektronicznych czy mechanicznych.

Do kitu. Tak jak wszystkie babcine reguły. Nie mógł robić niczego, na co miałby ochotę... Oczywiście z wyjątkiem czytania.

Trzy ściany jego pokoju całkowicie pokrywały sięgające od podłogi do sufitu półki na książki, zamontowane dawno temu, chyba jeszcze w erze prekambryjskiej, przez prababcię. Dwa tysiące pięćdziesiąt dziewięć tomów ustawionych jeden obok drugiego w niewielkiej sypialni – z czerwonymi grzbieciami, płóciennymi oprawami, wyblakłymi papierowymi obwolutami i błyszczącymi złotymi literami, wszystkie pachnące pleśniąjącym papierem i starzejącą się skórą. Całość emanująca wiekiem i powagą.

Eliot przesunął dłonią po grzbieciami – Jane Austen, Platon, Walt Whitman. Uwielbiał swoje książki. Ile razy pozwoliły mu uciec do innych krajów, do dawno minionych lat, do towarzystwa barwnych postaci? Gdyby tylko jego życie mogło być takie interesujące.

Podszedł do drzwi, ale zatrzymał się przed kartkami z babcinymi regułami. Wpatrywał się w nie zły, wiedząc, że najważniejszej i tak nie zobaczy – reguła 0: „Od reguł nie ma ucieczki”.

Westchnął, przekręcił klamkę i otworzył drzwi.

Światło wylało się na ciemny korytarz w tej samej chwili, gdy pojawił się na nim drugi jasny prostokąt – to otworzyły się drzwi pokoju Fiony. Dziewczyna miała na sobie zieloną kraciastą sukienkę, przetarty zamszowy pasek i rzymianki.

Ludzie często mówili, że Fiona i Eliot są do siebie podobni, ale ona miała metr sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a on zaledwie metr sześćdziesiąt. Poza tym wcale go nie przypominała – garbiła się jak miękka nitka makaronu, a kręcone włosy wpadały jej do oczu, jeśli nie związała ich w koński ogon. Na dodatek obgryzała paznokcie.

Wyszła ze swojego pokoju dokładnie w tej samej sekundzie, co Eliot. I zapewne znowu zrobiła to, żeby go zirytować. Zawsze udawała, że robią różne rzeczy jednocześnie, chcąc udowodnić, iż bliźnięta są w zasadzie niemal jedną osobą.

Na pewno nasłuchiwała pod drzwiami, czekając na skrzypnięcie klamki w pokoju Eliota. Tak łatwo go nie nabierze.

– Nie wyglądasz za dobrze. – Głos Fiony ociekał fałszywą troską. – Naegleria fowleri?

– Ostatnio nigdzie nie pływałem – odpowiedział. – Może to twój mózg zjadają ameby.

Też czytał trzeci tom *Rzadkich nieuleczalnych pasożytów*. Zabawa w słownikowe obelgi należała do ich ulubionych.

– Lochsmere – rzucił Eliot i spojrzał na Fionę z pogardą.

Zmarszczyła brwi, usiłując się skoncentrować. Zagadka była trudna – chodziło o postać z trzynastowiecznych kronik Twixtbury spisanych przez Vandena Du Bura, chorego na ospę złośliwego karła, który nie zawahałby się przed utopieniem bezbronnych szczeniąt. Tom zawierający te opowieści leżał pokryty warstwą kurzu na jednej z najwyższych półek w korytarzu. Fiona na pewno go nie czytała. Ale siostra zauważyła jego spojrzenie, rzuciła okiem na regały i uśmiechnęła się.

– Pomyliłeś mnie ze szlachetnym G'meetello, mistrzem Lochsmere'a... Lochsmere'a, którym bez wątpienia sam jesteś.

A więc czytała. Trudno. Wciąż było zero do zera.

Fiona przymknęła oczy i zamruczała:

– Czasami, braciszku, myślę, że twój dowcip tak się wyostrzył, że dla wszystkich byłoby lepiej, żebyś znalazł się na Tristan da Cunha.

Tristan da Cunha? Tego nie znał.

– Ej, obcych języków nie używamy.

Fiona miała do nich talent, on wręcz przeciwnie. Umówili się więc, że ona nie będzie sięgać do obcych wyrazów, a on w zamian powstrzyma się od wymyślenia nieistniejących słów, bo Eliot niemal na zawołanie potrafił sypać barwnymi, ale bezsensownymi terminami, które nie znalazły się w żadnym słowniku.

– To nie w obcym języku! – Aż biło od niej zadowolenie.

Wierzył jej. Nigdy nie oszukiwali w tej grze. Spróbował się domyślić, o co może jej chodzić. Tristan... Tak jak rycerz z legendy? Może zamek? Fiona bez przerwy czytała jakieś wspomnienia z podróży. To musiało być to.

– Tak – powiedział, starając się nadać swoim słowom ironiczny ton. – Za jego murami nie musiałbym przynajmniej oglądać twojej twarzy.

Fiona mrugnęła.

– Dobry strzał, ale kompletnie niecelny. Tristan da Cunha to wyspa na południowym Atlantyku, ponad dwa tysiące kilometrów od najbliższego zamieszkanego lądu. Populacja: dwieście osiemdziesiąt głów. Zdaje się, że oficjalną walutą jest ziemniak.

Z Eliota uszło powietrze.

– OK, wygrałaś – burknął. – Wielkie rzeczy. Zresztą pozwoliłem ci wygrać. Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, przed czasem.

– Nigdy nikomu nie dałeś wygrać – zaśmiała się. – I nawzajem wszystkiego dobrego urodzinowo.

– Chodźmy.

Eliot przecisnął się obok siostry, a ta ruszyła za nim wąskim korytarzem, którego obie ściany od parkietu po pełen zacieków sufit zasłaniały półki z książkami.

Przejście z ciemnego korytarza do jadalni zmusiło ich do zmrużenia oczu. Przez szerokie okno, tylko częściowo zastawione regałami, widać było ceglany budynek po drugiej stronie ulicy i błądy pasek nieba pociętego liniami wysokiego napięcia. Prababcia Cecilia siedziała przy stole i pisała listy do swoich licznych kuzynów. Jej cienką jak papier skórę pokrywała sieć zmarszczek. Miała na sobie brązową sukienkę zapinaną pod szyję i wyglądała, jakby przed chwilą zeszła z dagerotypu.

Dała im znak, żeby podeszli bliżej. Uściskała Fionę, potem Eliota i na koniec dała mu suchego buziaka.

Chłopiec bardzo ostrożnie odwzajemnił jej drżący uścisk. Sto cztery lata to już wiek, z którym nie ma żartów. Eliot kochał Cecilie. Zawsze miała dla niego czas i nigdy nie pouczała go, jak powinien postępować. Po prostu była przy nim, kiedy tego potrzebował.

– Dzień dobry, moi kochani – wyszeptała, a jej głos brzmiał jak szelest liści.

– Dzień dobry, Cee – Fiona i Eliot odpowiedzieli jednocześnie.

Chłopak spojrzał na siostrę spod oka. Znowu się w to bawiła. Cecilia pogłaskała go po dłoni.

– Wczorajsza praca domowa – kiwnęła głową w stronę papierów leżących na brzegu stołu.

Fiona stała trochę bliżej i sięgnęła po kartki pierwsza. Przerzuciła kilka z wierzchu i zmarszczyła brwi. Podała je bratu.

– Twoje – wymruczała, przyglądając się reszcie papierów.

Eliot wziął swoją pracę zirytowany tym, że Fiona zdążyła zobaczyć jego ocenę przed nim. Na samej górze wypracowania o Jefferson Memorial widniało duże trzy z plusem, a obok uwaga: „Ogólne założenia dobre. Wykonanie kiepskie. Styl bliższy aborygeńskiemu niż angielskiemu”. Eliot aż się skrzywił. Tak bardzo się starał. W jego głowie wszystkie idee wydawały się bardzo jasne, ale kiedy próbował przelać je na papier, wszystko mu się mieszało. Zerknął na Fionę. Jej oliwkowa cera nieco zbladła. Podeszedł bliżej i zobaczył na jej pracy duże trzy z minusem.

– Moje wnioski były „dyletanckie” – wyszeptała.

– Nie przejmuj się. Wieczorem pomożemy sobie napisać to na nowo.

Fiona kiwnęła głową. Przeżywała złe oceny bardziej niż brat, jakby chciała udowodnić coś babci. Eliot zaś już dawno przestał próbować sprostować stawianym przed nim

wymaganiom. Nic nie było wystarczająco dobre. Dlatego czasami po prostu chciał, żeby mu dano święty spokój.

– Nieważne, czy razem, czy osobno – odezwała się babcia. – Tak czy inaczej spodziewam się, że wieczorem dostanę od was nowe wersje. Oczywiście razem z dziejszą pracą domową.

Eliot podskoczył i obrócił się. Babcia stała w korytarzu tuż za nimi z rękami założonymi na piersiach. W jednej dłoni trzymała dwie równo zadrukowane kartki.

– Dzień dobry, babciu – przywitał się z nią Eliot.

Zawsze mówili do niej „babciu”. Nigdy „Audrey” czy „babuniu”. Nie używali też żadnego zdrobnienia jak w wypadku Cecylii. W tej kwestii nie istniał zakaz; po prostu nie przyszłoby im do głowy inaczej ją nazwać. Tylko określenie „babcia” niosło w sobie pełnię autorytetu towarzyszącego jej osobie.

Ta szczupła, wyprostowana postać górowała nad nimi, osiągnąwszy równe sto osiemdziesiąt centymetrów. Miała krótkie siwe włosy przycięte z wojskową precyzją, a jej skóry o oliwkowej karnacji nie znaczyły żadne zmarszczki, chociaż skończyła już sześćdziesiąt dwa lata. Zapięta pod szyję flanelowa koszula w kratę, dżinsy i buty o stalowych noskach dopełniały jej niezwykłego obrazu. A wyraz jej twarzy najlepiej opisywało określenie: „ironiczna nieprzeniknioność”.

Wręczyła im kartki z pracą domową na dzisiejszy wieczór: siedem dowodów z geometrii i wypracowanie na temat prywatnego życia Isaaca Newtona.

Eliot poruszył nadgarstkiem i zaczął się zastanawiać, jak krótkie może być nowe wypracowanie, żeby wciąż miało szansę na pozytywną ocenę. A pozytywne oceny zdaniem babci zaczynały się od piątki z minusem. Zawsze powtarzała im: „Oczekuję od was przynajmniej doskonałości” – i zmuszała ich do pisania wypracowań na nowo dopóty, dopóki nie były wystarczająco dobre.